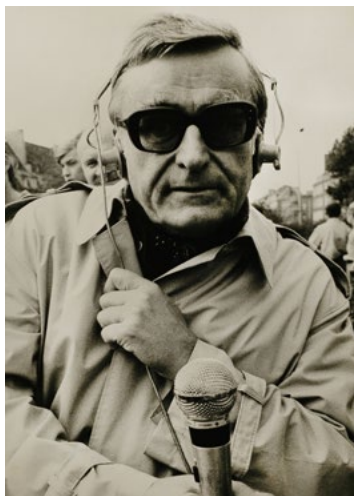


Mikrofon czy medycyna?

Z Jerzym Gebertem, absolwentem Wydziału Lekarskiego AMG i znanym radiowym sprawozdawcą sportowym rozmawia prof. Wiesław Makarewicz.

■ Proszę najpierw o kilka wspomnień z okresu studiów na Wydziale Lekarskim AMG.

Rozpoczywałem studia w 1949 r. w bardzo nieprzyjemnym, tzw. stalinowskim okresie. Żyliśmy trochę izolowani w swoim środowisku akademickim, a tam dobrą atmosferę stwarzali nasi profesorowie. To byli wybitni profesorowie z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, którzy roztaczali wokół siebie aurę życzliwości. Ja należałem do tych najmłodszych, ale na roku byli i czterdziestolatkowie. Pierwsze wspomnienia – to anatomia i ćwiczenia z osteologii pod kierunkiem dr. Wojciechowskiego. Prof. Mozołowski wykładał nam chemię ogólną i fizjologiczną, prof. Hiller histologię, a prof. Czarnocki, który jak pamiętam specjalnymi względami darzył studentów z Kresów Wschodnich – anatomię patologiczną. Kiedy na egzaminie usłyszałem, że urodziłem się na Wołyniu, rozmowa natychmiast stała się bardziej familijna. Na studiach byłem trochę na specjalnych warunkach, ponieważ pracowałem już wtedy w Radiu Gdańsk. Już po I roku dostałem pełny etat, dlatego na wykładach bywałem raczej rzadkim gościem. Kłopoty zaczynały się z ćwiczeniami. Mój szef w Radiu źle to tolerował i początkowo próbował mnie zwolnić, ale jak mijał czas wypowiedzenia to znowu mnie zatrudniał. O atmosferze tamtych lat świadczy następujące zdarzenie. Gdy byłem na III roku (w 1952 r.), to jednemu z kolegów otworzono list napisany do ojca, w którym niepochlebnie wyrażał się o święcie pierwszomajowym. Odbyła się tzw. masówka, czyli ogólne zebranie roku, na której kolega ten mimo samokrytyki został usunięty z Uczelni z wilczym biletem. Na szczęście po roku udało mu się jako wkręcić na Akademię Medyczną w Poznaniu i tam skończył studia. Po śmierci Stalina w marcu 1953 r. wszyscy dziennikarze pracujący w Radiu dostali mikrofon do ręki. Mieliliśmy latać po tych ludziach, którzy się zbierali, niby w wielkiej żałobie, pod portretami i popiersiami Stalina. Sporządzono listę osób, do których należało pójść z mikrofonem. Mnie w udziale przypadła prof. Zofia Majewska, u której za dwa tygodnie miałem zdawać egzamin. Poszedłem na tę rozmowę w czapce studenckiej, a na egzaminie prof. Majewska mówi do mnie: *Wydaje mi się, że ja Pana skądś znam*. Zostałem potraktowany bardzo ulgowo. Nasz rok był bardzo żyty i solidarny. Studenci byli bardzo zdolni i pracowici, może poza mną, bo ja z racji pracy w Radiu przez egzaminy raczej się prześlizgiwałem. Wszystko jednak zdawałem w terminie, poza laryngologią u prof.



lwaszkiewicza, kiedy na egzaminie praktycznym wzięłem wziernik nosowy do prawej ręki. Od razu usłyszałem: *Proszę wyjść!* Na moim roku byli Józek Jordan, Mirka Narkiewiczowa, Janeczka Tatar-kiewicz (Suchorzewska). Ogółem z naszego grona wyszło potem 18 profesorów! O tym jak żyty był nasz rocznik na studiach, najlepiej świadczy to, że do dzisiaj spotykamy się regularnie co miesiąc w Sopocie, niestety w coraz mniejszym składzie. Ostatnio przychodzi na nasze spotkania 12-15 osób. Z profesorów najczęściej jest z nami tylko Basia Krupa.

■ Jakie były Twoje doświadczenia z uprawiania praktyki lekarskiej?

Szkoda mi było trochę tych studiów, które kończyłem głównie dla mojej mamy, bo to ona koniecznie chciała mieć lekarza w rodzinie. Fascynował mnie sport i praca w radiu, ale rozum kazał nie rzucać też medycyny. Ukończyłem więc studia i po dyplomie pracowałem przez dwa lata u dr. Stanisława Michalskiego, który był wówczas dyrektorem Przychodni Sportowo-Lekarskiej. Byłem trochę lekarzem szkolnym w Letniewie (Letnica) i w szkole zegarmistrzowskiej w Brzeźnie. W Oliwie, w tej dużej przychodni zostałem reumatologiem! Bycie lekarzem to był dla mnie duży stres, więc w szufladzie zawsze miałem otwarte *Vademecum*. Wtedy jeszcze pisało się recepty na leki złożone, które robili aptekarze. To wszystko jednak kolidowało mocno z moją pracą dziennikarską, aż wreszcie złapałem coś, co dawało się dobrze godzić. Były to dyżury w Pogotowiu Ratunkowym i tutaj spędziłem zdecydowaną większość mego lekarskiego życia. W gdańskim Pogotowiu jeździłem nieco ponad 20 lat! Pogotowie wtedy obejmowało swoim zasięgiem wszystkie przyległe do Gdańska miejscowości, jeździłem jak pamiętam nawet do Przywidza. Dyrektorem Pogotowia był wówczas Antoś Urbanowicz, a ja miewałem po 5-6 dyżurów w miesiącu od godz. 15 do rana. Moim życzliwym mentorem i opiekunem, wprowadzającym mnie w tajniki pracy w Pogotowiu był nieoceniony dr Zenon Limon, *notabene* tata sławnych dziś profesorów: medycyny – Janusza w Gdańskim Uniwersytecie Medycznym i humanistyki – Jerzego w Uniwersytecie Gdańskim. Jest niewątpliwą zasługą doktora Limona, że przez moich 20 lat pracy w Pogotowiu nie popełniłem praktycznie żadnego błędu w sztuce. Oczywiście pilnie kierowałem się także hipokratesową zasadą *primum non nocere*.

Moja działalność lekarska skończyła się w 1976 r. po Olimpiadzie w Montrealu. Było to głównie spowodowane tym, że w Radiu stale mnie awansowano. Wtedy zostałem zastępcą naczelnego redaktora. Dzięki pracy w Pogotowiu poznałem dokładnie nasze miasto i jego mieszkańców. Staralem się bardzo nie szkodzić pacjentom i byłem bardzo ostrożny. Jako sprawozdawca byłem już dość znany i zdarzyło się kiedyś tak, że jak wypisałem receptę, na której postawiłem swoją pieczęć lekarską to zdumiony pacjent zawołał: *To Pan jest ten słynny Gebert relacjonujący wydarzenia sportowe?* Wtedy nie było jeszcze telewizji i wiadomości sportowe słuchano tylko w radiu. Obawiam się, że jak usłyszał moje potwierdzenie to poszedł z tą receptą do prawdziwego lekarza. Najbardziej tragicznym wydarzeniem, jakie przeżyłem w Pogotowiu to był znany pożar na statku m/s „Konopnicka”. Jednym z pierwszych był wyjazd do Kiezmarka, gdzie wezwano Pogotowie do pacjentki z powodu bólów brzucha. Po przyjeździe stwierdziłem, że ta kobieta po prostu rodzi! Musiałem jakoś ten poród odebrać i całe szczęście, że miałem doświadczonego sanitariusza.

■ **W jakich okolicznościach zainteresowało Ciebie dziennikarstwo sportowe?**

Od dzieciństwa byłem rozmiłowany w sporcie. Po wojnie i po przyjeździe do Gdańska, jako nastolatek zaraz zapisałem się do juniorów Lechii i grałem w piłkę nożną, potem zająłem się lekkoatletyką. Uprawiałem wszystko, co się dało, nawet biegi narciarskie i skoki. W gimnazjum w „Topolówce” to oczywiście grałem w piłkę ręczną. Byłem prezesem SKS-u i występowałem w szkolnej reprezentacji Gdańska pod wodzą słynnego trenera Walleranda. W Warszawie na mistrzostwach Polski dotarliśmy do półfinału, gdzie przegraliśmy z Katowicami. Ja rzuciłem w tym meczu dwie bramki.

Gdy dostałem się na Akademię Medyczną, wystąpiłem z Lechii i zapisałem się do AZS-u. Wówczas piłkarska drużyna AZS grała w trzeciej lidze. Bardzo zacięte były mecze pomiędzy Akademią a Politechniką rozgrywane na bocznym boisku stadionu Lechii. Byłem po I roku studiów i po powrocie z obozu kondycyjnego, kiedy do klubu nadeszły z Polskiego Radia zaproszenia na konkurs. Wówczas w gdańskiej

rozgłośni radiowej redaktora sportowego powołano do wojska i poszukiwano młodej osoby znającej się na sporcie. Zgłosiło się wówczas do tego konkursu chyba 5 chętnych, ale wybrali mnie! Zacząłem pracować, na razie na trzymiesięcznym angażu. Niebawem redaktor powołany do wojska powrócił, ale go szybko awansowali i zaproponowali mi, abym został na kolejne trzy miesiące. I tak było chyba przez rok. Relacjonowałem jak myślę łącznie 8 Wyścigów Pokoju, najpierw dla radia, potem też dla telewizji. Takie imprezy z reguły obsługiwała Warszawa. Miałem chyba trzykrotnie propozycję by przenieść się do Warszawy, co oczywiście ułatwiłoby karierę. Nie wiem czy dobrze, czy źle zrobiłem, ale ja się na to nie mogłem zdecydować, tak byłem przywiązany do Gdańska. Efekt był taki, że na mistrzostwa Europy w boksie, pojechałem po raz pierwszy dopiero po 20 latach pracy w Gdańsku. Na pierwszą Olimpiadę pojechałem dopiero w 1972 r. do Monachium. Przeżyłem wtedy piękną przygodę. Relacjonowałem finały w boksie, bo to była moja specjalność, a obok na stadionie równocześnie rozgrywany był piłkarski mecz finałowy Polska – Węgry. Na ringu w wadze lekkiej Szczepański walczył z Węgrem Orbanem. Przelączano transmisję raz na piłkę, a za chwilę na boks. Niemal w tym samym czasie Polska wygrała z Węgrami 2:1 i Szczepański pokonał jednogłośnie 5:0 Orbana. Do kraju popłynęły dwa *Mazurki Dąbrowskiego*. Dla przeżycia takiej jednej chwili warto być reporterem sportowym! W 1976 r. byłem na Olimpiadzie w Montrealu, wtedy Szewińska biła rekord świata, a w skoku wzwyż zabłysnął młody Jacek Wszoła. Na Olimpiadzie w Moskwie w 1980 r. byłem świadkiem tego słynnego gestu Kozakiewicza. Przy mikrofonie zawsze bardzo autentycznie przeżywałem wszystko co relacjonowałem. Zresztą sport pasjonuje mnie do dzisiaj.

■ **Jak rozwijała się Twoja kariera jako dziennikarza sportowego? Opowiedz o kuchni tego zawodu, jakie są jego blaski i cienie widziane z perspektywy lat?**

W latach 50. XX w. funkcjonował dość dobry ogólnopolski system szkolenia dziennikarzy radiowych w Soplicowie niedaleko Warszawy, z którego wiele skorzystałem. Witold Dobrowolski to był mój Mistrz, od którego najwięcej czerpałem. Z kolei Janek Ciszewski, który potem dołączył do naszego grona zawsze przyznawał, że od Geberta dużo skorzystał. Kiedyś w 1980 r. robiliśmy razem relację z meczu piłkarskiego Polska – RFN we Frankfurcie, on dla telewizji, ja dla radia. Wtedy dałem się namówić na lody i już rano moje gardło stanęło w ogniu. Lekarz kadry robił wszystko, aby ratować mój głos, ale mimo tego chrypiałem okropnie. Janek nie mógł mnie zamienić, więc (chcąc nie chcąc) musiałem chrypieć do mikrofonu przez blisko 2 godziny. Ciekawostką jest to, że czasami moja praca sprawozdawcy sportowego zająłaby się pracą w zawodzie lekarza. Pamiętam, że kiedyś relacjonowałem mecz ligowy piłkarzy ręcznych, w trakcie którego poważnemu urazowi stawu barkowego uległ zawodnik Robert Zawada, będący wówczas reprezentantem Polski. Okazało się, że nie było na sali lekarza. Musiałem wtedy zostawić mikrofon i pójść za głosem lekarskiego powołania! Miałem utalentowanych uczniów, jednym z nich był Darek Szpakow-



Pierwsze nauki dziennikarskiego warsztatu, z lewej: Jerzy Gebert – jeszcze student AMG u boku doświadczonego już spikera Olgierda Pawłowskiego, Gdańsk 1950 r.

ski, który skończył gdański AWF. Prawie wychowankiem był późniejszy premier Krzysztof Bielecki. Jego mama pracowała w radiu, a on często do nas przychodził. Prosił mnie zawsze: *Niech Pan mnie zabierze na Lechię.*

■ **Które momenty pozostały w Twojej pamięci jako najbardziej fascynujące?**

To niewątpliwie były Wyścigi Pokoju, na których zawsze wiele się działo. Jechało się przez trzy kraje i było wiele ciekawych zdarzeń, także tych około sportowych. Kiedyś opisywałem zdarzenie, jak z peletonu urwała się jakaś grupa, a z niej próbował ucieczki jeden z zawodników. Grupa niebawem go dogoniła i zaczęła okładać pompkami za to, że wcześniej na nich się woził. Relacjonowałem w całości 8 Wyścigów Pokoju, a w pierwszym jechałem z Wyścigiem tylko do granicy Polski jako tzw. terminator, przy boku Tużyskiego i Tomaszewskiego.

■ **Czy dziennikarstwo całkowicie zastąpiło Ci wyuczony zawód lekarza? Czy tego czasami nie żałowałeś? Czy czujesz się człowiekiem spełnionym zawodowo?**

Czasami żałowałem, gdy patrzyłem na moich przyjaciół i kolegów ze studiów awansujących w zawodzie. Ale ja nie miałem żadnej możliwości zrobienia specjalizacji. Z drugiej strony kochałem sport i za darmo zjeździłem pół świata, co w tamtych latach było niebywałą atrakcją. Najważniejsze, że robiłem to, co kochałem i jeszcze mi za to płacili! Na emeryturę poszedłem w 1990 r., gdy skończyłem 60 lat. Ale nie byłem stuprocentowym emerytem, jeszcze przez prawie 20 lat współpracowałem z Warszawą i podrzucałem im różne materiały, relacjonując przez telefon różne wydarzenia sportowe z Wybrzeża. Współpracowałem także od 1960 r. z pismem *Sport* wydawanym w Katowicach i kontynuowałem to jeszcze na emeryturze. Zacząłem też pisać książki. Nazbierało się tego 8 czy nawet 9 tytułów, oczywiście o sporcie! Pierwsza z nich to *Z gdańskich boisk i stadionów*, jest najbardziej znana, bo wyszła jeszcze w 1972 r. To jest publikacja, z której często korzystają dziennikarze, a studenci AWF-u uczą się z niej historii sportu. Potem ukazywały się: *Poczet olimpijczyków ziemi gdańskiej*; *Alfabet Jerzego Geberta*; *Bombardierzy i korsarze*; *Mikrofonem zapisane i inne*. Ostatnia książka *Z Wołynia przez Gdańsk na trzy Olimpiady* ukazała się w tym roku i miała swoją premierę 26 maja w gościnnych pomieszczeniach Radia Gdańsk w obecności wielu powszechnie znanych sportowców.

■ **Jak oceniasz dzisiejsze prowadzenie relacji dziennikarskich z dużych zawodów sportowych?**

Niechętnie się w tej sprawie wypowiadam, ale oceniam bardzo źle, głównie relacje telewizyjne. Mam zdecydowanie negatywną opinię o dzisiejszej pracy dziennikarzy sportowych w telewizji. Na tym tle wyróżnia się kanał Eurosport. Radio trzyma się na dobrym poziomie dzięki np. takiemu Tomkowi Zimochowi. Podstawowy błąd, który wszyscy sprawozdawcy telewizyjni dziś popełniają polega na tym, że próbują relacjonować po radiowemu. I gadają bez opamiętania o tym, co się widzi, np. mówią, co w danym momencie robi zawodnik. Inna niedobra rzecz polega na tym, że kiedy



W przerwie między wykładami, przed stołówką AMG przy al. Zwycięstwa, od lewej: Jurek Duch i Stefan Cejrowski (tenor Opery Bałtyckiej), stomatolodzy: Gryziecki i Jurek Czubała, Jerzy Gebert i Marian Czaplewski, wiosna 1953 r.

komentatorzy relacjonują jakieś wydarzenie w duecie to rywalizują ze sobą i widać, że walczą, który więcej będzie mówił i który szybciej będzie mówił. To jest nie do przyjęcia.

■ **Byłeś nie tylko sprawozdawcą sportowym, ale zajmowałeś też wysokie stanowiska zarządcze w Radiu Gdańsk.**

W rozgłoszeniach regionalnych nie było oddzielnych redakcji sportowych. Był tylko jednoosobowo redaktor sportowy. Robiłem w Radiu także inne rzeczy poza sportem, również programy informacyjne. Wymyśliłem np. audycję *Studio Bałtyk*, taki popularny program trzech nadmorskich rozgłośni – Gdańska, Szczecina i Koszalina. Za ten program dostałem nagrodę Radiokomiteu z rąk prezesa Macieja Szczepańskiego, co było wtedy dla radiowca najwyższym wyróżnieniem. Po tym sukcesie *Studia Bałtyk* zrobili mnie kierownikiem redakcji informacji. To był 1970 r. i z tym *Studium Bałtyk* wyprzedziliśmy takie znane programy jak *Lato z radiem* czy *Sygnaly dnia*. Był to pierwszy na żywo transmitowany program po wydarzeniach grudniowych. Zostałem potem zastępcą redaktora naczelnego i w marcu 1981 r. naczelnym Rozgłośni Gdańskiej, pozostając na tym stanowisku przez 11 lat aż do emerytury. Byłem jedynym naczelnym redaktorem rozgłośni regionalnych, którego po 1989 r. nie zwolniono z pracy. Odszedłem na emeryturę na własne życzenie.

■ **Bardzo dziękuję za rozmowę, życzę dobrego zdrowia i wielu wspaniałych emocji sportowych przed telewizorem.**



Jerzy Gebert, Z Wołynia przez Gdańsk na trzy Olimpiady, wydanie własne, 2016, ISBN 978-83-65543-47-9, s. 262.